



Zagrożenia, jakie niesie rewolucja cyfrowo-informacyjna

Wszystkie rewolucje głęboko zmieniały społeczeństwa w czasie w którym zachodziły. Jedną z pierwszych w historii ludzkości, z tych największych, była rewolucja rolnicza, a następnie, milenia później, rewolucja naukowa. W tej ostatniej można wyodrębnić rewolucję przemysłową z XVIII wieku, kiedy to maszyny parowe zaczęły wykonywać prace wcześniej robione przy pomocy siły zwierząt bądź ludzi. Odkrycie elektryczności umożliwiło produkcję na skalę masową, zaś komputery przyczyniły się do jej automatyzacji, a także do powstania energii nuklearnej. Można powiedzieć, że była ona skoncentrowana na poszukiwaniu nowych źródeł energii. Jednakże jej zasięg ograniczał się głównie do państw europejskich, w której się zaczęła, tak że powoli rozprzestrzeniła się na inne kraje i kontynenty.

Obecna rewolucja informacyjno-cyfrowa jest od tych poprzednich inna w tym sensie, że swoim zasięgiem objęła cały świat w bardzo krótkim czasie. Połączyła ona ludzi w wymiarze dotąd niespotykanym i spowodowała łatwy dostęp do informacji na każdy temat. Przyniosła także i negatywy, np. znacznie ułatwia sterowanie społeczeństwami, a także całymi krajami, poprzez bardzo skuteczną cyfrową inżynierię społeczną.

Państwa wpływają na swoich obywateli poprzez przekazywanie im obszernego zbioru informacji, dbając przez to o zachowanie własnej kultury, tradycji i historii. Notabene ta ostatnia jest prawie zawsze subiektywna, w szczególności gdy dotyczy historii stosunków między sąsiadami. Jesteśmy przyzwyczajeni, że mniejsze państwa są manipulowane przez mocarstwa, obsadzające w nich przychylnie sobie rządy za pomocą siły bądź pieniędzy, które dają, czasem przez opozycję, którą kreują. Niestety, to samo dotyczy prawie wszystkich państw, ponieważ jedynie mocarstwa, a w każdym okresie historycznym było ich równolegle tylko 2-3, mogą prowadzić prawdziwie niezależną politykę.

Rewolucja cyfrowa znacznie ułatwiła mocarstwom sterowanie/manipulowanie innymi krajami, tym bardziej że zawsze znajdują się w nich politycy, którzy chętnie zrobią prawie wszystko dla zdobycia władzy. Mocarstwa nieustannie bombardują różne kraje informacjami, które mają przekonać część ich społeczeństw np. do głosowania na kogoś im wygodnego. Nawet USA nie zawsze udaje się zabezpieczyć przed takimi napaściami, jako że obrona przed cyberatakami jest w obecnym cyberpołączonym świecie niezwykle technicznie skomplikowana. Mniejsze państwa są tu praktycznie prawie bezbronne.

Mówi się, że jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze, ale jest to tylko część prawdy. Wyżej od pieniędzy jest ceniona władza, czy to indywidualna, czy jednego państwa nad drugim. Również

władza idei. Zrealizowanie „panowania” tej ostatniej na dłuższą metę jest dość proste. Już Zamoyski pisał: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie...”. Tak więc, aby jakaś idea wygrała, wystarczy obsadzić uniwersytety „właściwymi” ludźmi, którzy potem będą rozprzestrzeniać tylko właściwe idee; Polacy, i nie tylko, wiedzą o tym dobrze. W Stanach najlepsze uniwersytety są często lewicowe. Jedną z czołowych uczelni najęta po drugiej wojnie światowej głównego niemieckiego ideologa komunizmu, który wychował już kilka pokoleń następców. Więc teraz uczą, że komunizm był dobry, i studenci w to wierzą, bo niby skąd mają wiedzieć o zbrodniach komunizmu, skoro im o tym nie mówią. Tak więc, poza czysto ekonomicznymi interesami mocarstw, istnieje też walka o idee, która może, ale nie musi, być z nimi połączona. Państwa, często nieformalnie, łączą się i walczą wspólnie o jakąś ideę – wizję przyszłości. Robiły to i faszyzm, i komunizm w przeszłości; ten ostatni ma się zresztą nadal znakomicie.

Polska, szybko nadrabiająca stracony czas bycia za żelazną kurtyną, jest szarpana przez wielkich graczy, aby robiła to, czego sobie życzą, także jeśli chodzi o przeszczepianie takich, a nie innych idei. W niedalekiej przeszłości była oczerniana przez niemiecką propagandę przez kilka lat, zanim Niemcy zaatakowali Polskę. Pomimo zaaresztowania niemieckich szpiegów, członków mniejszości niemieckiej, ze względu na presję Anglii i Francji musiała ich zwolnić tuż przed wybuchem wojny, „aby nie prowokować Niemców”. Uległa, ale robiąc to, nie zyskała nic; pomogło to tylko Niemcom wygrać propagandowo na arenie międzynarodowej. Teraz taką presję można wywierać znacznie łatwiej, taniej i skuteczniej za pomocą technologii cyfrowej.

Chcę tutaj nawiązać do ciekawej książki Harariego pt. *Sapiens*. Jest świetnie napisana, choć staje się słabsza pod koniec, gdzie autor dywaguje nt. biologii i technologii, którymi jest wyraźnie zafascynowany, i gdzie, czasem naiwnie, puszcza wodze swojej fantazji. W rozdziale *Realia wyobrażone* pisze: „Królestwa, imperia i kościoły funkcjonowały przez tysiąclecia jako społeczeństwa wyobrażone/wymyślone”. Pisze też, że nie ma żadnej różnicy między religią a ideologią, które też są tworam wymyślonymi. Jeśli chodzi o organizowanie się ludzi, to można streścić to następująco: ludzie najpierw tworzyli małe grupy, potem plemiona, potem państwa, a następnie mocarstwa. Twierdzi też, że taka kolej rzeczy była nieunikniona. Co więcej, uważa, że społeczeństwo globalne też musi powstać, a narody, jako twory wymyślone, muszą zniknąć. Jeśli tak się stanie, to ktoś będzie zarządzał takim globalnym społeczeństwem – zapewne któreś z obecnych bądź przyszłych mocarstw.

KRZYSZTOF J. CIOS

Virginia, USA

SPROSTOWANIE

Zapewne tylko niewielu z Państwa uwierzyło w informację o zlikwidowaniu punktozy, zamieszczoną w poprzednim numerze PAUzy. Była zbyt piękna, aby mogła być prawdziwa. Nie ma się co łudzić: punktoza zostanie z nami na długo. Ale raz na rok, pierwszego kwietnia, można sobie przynajmniej optymistycznie zażartować.

REDAKCJA



Kraków

Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków



Meandry kariery akademickiej

Kariera akademicka to temat stary, ale wciąż otwarty i dyskutowany. Działająca od 2 lat ustawa przyniosła kilka zmian, które bynajmniej nie uspokoiły atmosfery.

Pierwszą, wciąż budzącą spory kwestię jest stanowisko profesora uczelni. Pamiętam sprzed wielu lat zastąpienie stanowiska docenta przez profesora nadzwyczajnego. O ile awansowanie doktora habilitowanego na stanowisko docenta następowało prawie bezzwłocznie (oczywiście po zatwierdzeniu przez odpowiedni komitet partyjny), o tyle zmiana nazwy tego stanowiska spowodowała duży opór, przynajmniej na mojej uczelni. Powszechnie uważano, że taki krok obniża prestiż, związany ze słowem „profesor”. I tak w rzeczywistości, moim zdaniem, było. Opór ciągnął się latami i w niektórych miejscach przetrwał nawet do dziś (w międzyczasie profesor nadzwyczajny zamienił się na profesora uczelni, a profesor zwyczajny w profesora „bezzwłocznego”). Na tych „konserwatywnych” uczelniach w dalszym ciągu panuje obyczaj, iż po habilitacji potrzeba jeszcze, mówiąc kolokwialnie, „coś dorobić”, zwykle trwa to dobrych kilka lat i wymaga osobnych procedur, dokumentacji i recenzji. Wytworzył się zatem dodatkowy szczebel w karierze akademickiej. Nie wiem, jak powszechny jest ten schemat, ale obowiązuje praktycznie na całym moim Uniwersytecie, a także na kilku innych. W obliczu rozpoczętej ostatnio dyskusji w moim Instytucie, przygotowałem krótki balotaż w tej sprawie z pytaniami: czy po habilitacji należy się profesura uczelni bezwłocznie, czy może w ciągu roku, dwóch („jeśli nic złego się nie wydarzyło”), czy też stawiamy dodatkowe warunki przy takim awansie (powiększony dorobek, granty, wypromowani doktorzy). Odpowiedzi Rady Instytutu Fizyki Teoretycznej były jednoznaczne: dodatkowe warunki po habilitacji poparła tylko jedna osoba, pozostali powiedzieli się za profesurą uczelni „niezwłocznie lub wkrótce”. Można podsumować to stwierdzeniem, iż według opinii zapytanych dorobek przedstawiony przy habilitacji wyczerpuje ustawowe wymaganie „znaczącego dorobku naukowego”. W tym duchu wypowiadali się ankietowani na wszystkich szczeblach kariery. Wynik ankiety był dla mnie sporym zaskoczeniem. Czyżby w tradycyjnie konserwatywnym środowisku szła odwilż? A może zaczyna przeważać pogląd, że obrona dawnego statusu pojęcia „profesor” jest skazana na niepowodzenie?

Ale żeby nie było aż tak „postępowo”, w dyskusji pojawił się też problem profesury uczelnicznej bez habilitacji, ustawa dopuszcza taką możliwość, jeszcze bardziej pomniejszając znaczenie tego stopnia. Tu głosy były zgodne, dodatkowe wymagania dla osób z doktoratem, w tym recenzje dorobku naukowego, są konieczne, a w ogóle dopóki istnieje habilitacja, to profesura bez niej dotyczy raczej tylko kandydatów robiących karierę w krajach „niehabilitacyjnych”. Jak widać, 2 lata po wprowadzeniu Ustawy 2.0 na niektórych uczelniach dyskusja na ten temat wciąż gorąca.

Próba zatrzymania „starych dobrych czasów” pojawia się też na innym etapie kariery akademickiej. Znam

co najmniej dwa duże uniwersytety, które utrzymały w tej czy innej formie tytuł profesora zwyczajnego, zniesiony Ustawą 2.0. Mój Uniwersytet zrobił to poprzez regulamin pracy, gdzie w rozdziale ‘Zmiana stanowiska’ wprowadzono tytuł „honorowego profesora zwyczajnego” wraz z procedurą postępowania (jakby zdominując, że w Statucie UJ występuje już inny, bardzo prestiżowy tytuł „profesora honorowego”). Wiem, że status „profesora zwyczajnego” ustanowił również Uniwersytet Warszawski. O ile tego typu jednorazowy krok dałoby się uzasadnić w przypadku dotychczasowych profesorów zwyczajnych, którym Ustawa 2.0 odebrała „zwyczajność”, o tyle usankcjonowanie takiej procedury na stałe oznacza ni mniej, ni więcej jak ustanowienie jeszcze jednego szczebla w karierze.

Policzmy zatem te szczeble po doktoracie: asystent, adiunkt, doktor habilitowany, profesor uczelni, profesor tytularny (brawo, tu udało się skleić tytuł ze stanowiskiem!), status/tytuł (honorowego) profesora zwyczajnego. Ubiegając się o awans, każdorazowo trzeba mieć nowe zasługi, przedstawić dokumentację, zebrać recenzje, czasem wygrać konkurs. Czas poświęcony tym staraniom to, moim zdaniem, czas stracony dla nauki i nauczania.

O utrzymaniu tytułu profesora zwyczajnego również zapytałem moje koleżanki i kolegów z Instytutu. Tak czy nie? I też byłem zaskoczony odpowiedziami. Głosy rozłożyły się po równo. W tym wypadku wydaje się, że powodów było kilka. Po pierwsze, z honorem wiąże się – znowu kolokwialnie – „kasa” – w siatce płac honorowy profesor zwyczajny ma wyższą stawkę niż profesor „bezzwłocznego”. Ale padały również opinie, że profesora tytularnego, często młodego czterdziestolatka, nic już nie czeka do emerytury. Zamiast Nobla chociaż awans na „zwyczajnego”?

W zamyśle nowej ustawy uczelniom wyższym przyznano większą swobodę w kształtowaniu swojej struktury, w tym samodzielne modelowanie kariery akademickiej. Jak różne mogą być rozwiązania, widać to nawet wewnątrz pojedynczej uczelni, którą obserwuję z bliska. Pomimo upływu 2 lat od wprowadzenia nowego prawa wciąż ścierają się dwie koncepcje. Z jednej strony „zarządzania zasobami ludzkimi” i motywowanie poprzez rozbudowaną hierarchię stopni i stanowisk (za takimi rozwiązaniami stoją również znaczące autorytety, np. prof. Piotr Sztompka, PAUza 527). Z drugiej zaś strony wkracza koncepcja kariery z minimalną liczbą szczebli, gdzie motywacją jest ciekawość świata uczonego oraz chęć konkurowania osiągnięciami naukowymi w skali globalnej. Mnie osobiście, zwolennikowi tego drugiego rozwiązania, wystarczyłyby trzy formalne etapy kariery, oczywiście z okresową oceną osiągnięć i powiązany z nimi system wynagrodzeń: asystent-postdoc (dwu- tryletnia posada poza macierzystą uczelnią), adiunkt-doktor (docelowo stała posada po wymagającym konkursie) i profesor (prestiżowy tytuł połączony ze stanowiskiem profesora). No i ewentualnie Nobel.

JERZY SZWED

Uniwersytet Jagielloński

Nauczanie zdalne

Mija rok, odkąd większość dydaktyki w szkołach wyższych odbywa się w trybie zdalnym. Doświadczenia studentów i prowadzących są bardzo różne, od głębokiej niechęci do ocen niemalże entuzjastycznych. Z pewnością cały ten proces i jego skutki zostaną kiedyś poddane szczegółowej analizie. Nie kusząc się zatem o całościową ocenę, opiszę moje doświadczenia z perspektywy wykładowcy na kierunku fizyka oraz byłego kierownika studiów, czyli osoby w znacznym stopniu odpowiedzialnej za organizację procesu dydaktycznego.

1. Najważniejszą formą dydaktyki uniwersyteckiej jest wykład. Prowadzę już piąty wykład w trybie zdalnym i muszę powiedzieć, że jest to doświadczenie upiorne. Mówię do ściany awatarów, a mam się zwracać do nich jak do żywych ludzi. Nie wiem, ile osób faktycznie mnie słucha. Żeby nie zatykać łącz, studenci mają wyłączone kamery i mikrofony, więc może część z nich tylko się zalogowała, lecz odeszli od komputerów, żeby zająć się swoimi sprawami? Bardzo brakuje mi kontaktu ze studentami – także dlatego, że na prawdziwym wykładzie po reakcji sali widzę, że zaczynam nudzić albo że słuchacze nie nadążają. Mogę wtedy coś zmienić, wyjaśnić, dać jakiś przykład, uzupełnić na tablicy to, co przygotowałem na slajdach. Przy wykładzie zdalnym brak informacji zwrotnej i po prostu nie wiem, jak jestem odbierany. Ponieważ nie mogę improwizować, muszę wszystkie dodatkowe przykłady i wyjaśnienia zawrzeć w prezentacji – przygotowanie dobrego wykładu zdalnego wymaga więcej czasu niż tradycyjnego. To z kolei rodzi dwa niebezpieczeństwa: Po pierwsze, skoro już się tak napracowałem, trudno oprzeć się pokusie, aby po prostu czytać slajdy, a to robi bardzo złe wrażenie. A po drugie, jeśli uda mi się przedstawić wykład dobry, który przecież można nagrać za pomocą tego samego programu, przy użyciu którego kontaktuję się ze słuchaczami, moja praca za chwilę może okazać się zbędna: Prędzej czy później władze zauważą, że skoro w kolejnym roku można odtworzyć raz nagrany wykład, sam wykładowca stanie się niepotrzebny.

Wpędza mnie to w nastroje depresyjne.

Ale studenci wykłady zdalne sobie cenią. Uczestniczenie w nich jest wygodne, odpada konieczność dojazdu na zajęcia, niekiedy uciążliwa. A po wtóre, nagrany wykład można sobie odtworzyć wiele razy i to może ułatwić zrozumienie. Słyszałem to od studentów w odniesieniu do kilku różnych wykładów uznawanych za bardzo trudne. Temu, a nie wyłącznie łatwości w ściąganiu, jak chcą media, przypisywałbym wyższą zdawalność przedmiotów prowadzonych w trybie zdalnym.

2. Największą trudność sprawia mi prowadzenie tak zwanych ćwiczeń rachunkowych. Ich istotą jest wspólne rozwiązywanie zadań. Na ogół ktoś rozwiązuje zadanie przy tablicy, prowadzący to nadzoruje i dodatkowo powinien upewnić się, że reszta grupy zrozumiała. Potem do kolejnego zadania przechodzi inna osoba. I tak to też próbuję robić w trybie zdalnym, ale tu kolosalną barierą jest sprzęt i oprogramowanie. Pisanie skomplikowanych wzorów przy użyciu popularnych narzędzi jest uciążliwe i kosztownie wolne. Oczywiście na rynku dostępne są narzędzia znacznie ułatwiające ten proces. O ile jednak wszyscy studenci mają komputery i smartfony, za pomocą których mogą uczestniczyć w zajęciach, nie można wymagać, aby wyposażyli się w dość kosztowne tablety graficzne. Uczelnia zaś nie ma ich tylu, aby mogła je udostępnić wszystkim zainteresowanym. W rezultacie w trakcie zajęć zdalnych udaje się zrobić znacznie mniej zadań niż w trybie normalnym, więc bardzo dużo zadaje się stu-

dentom do samodzielnego rozwiązania. To jednak przeczy idei wspólnego rozwiązywania zadań i wspólnego uczenia się, jak to robić.

3. Wydawać by się mogło, że typem zajęć najłatwiejszym do przeniesienia do trybu zdalnego są seminaria. Na seminariach ktoś prezentuje czyjeś prace lub własne badania i ta część rzeczywiście działa. Jednak to dopiero połowa sukcesu. Drugą połowę powinna stanowić dyskusja, a ta kuleje. Ludzie schowani za swoimi ekranami niechętnie zabierają głos, trudno ich pobudzić do rozmowy, ograniczają się do biernego śledzenia prezentacji. Dotyczy to także seminariów naukowych w grupach badawczych, a podobno również kierunków humanistycznych, nie tylko ścisłych.

4. Z jakichś powodów kiepsko wychodzą mi indywidualne konsultacje z dyplomantami, magistrantami, doktorantami. Wydaje się, że nie ma nic prostszego od rozmowy pomiędzy dwiema osobami za pomocą łącz komputerowych, z możliwością wzajemnego udostępniania sobie rysunków, notatek, ale to nie działa. Nie mogę się pozbyć wrażenia sztuczności takiego spotkania. Nic nie zastąpi bezpośredniego kontaktu z drugim człowiekiem.

5. Największą trudność stanowi organizacja zajęć na pracowniach, będących kluczowym elementem kształcenia na kierunkach przyrodniczych. Część ćwiczeń można wykonać w domu. Smartfon można łatwo przekształcić w urządzenie do badania zjawisk mechanicznych: można sfilmować tor poruszającego się ciała, a potem wyznaczyć drogę przebytą w kolejnych jednostkach czasu, czy zmierzyć kąty, pod jakimi rozbiegają się zderzające się kulki. Są też aplikacje robiące ze smartfona wydajny oscyloskop cyfrowy. Ale nie wszystko da się w ten sposób zrealizować.

W naukach przyrodniczych opracowanie danych doświadczalnych jest ważną częścią eksperymentu, często bardziej żmudną i zabierającą więcej czasu niż sam pomiar. Niekiedy studenci otrzymują zatem surowe dane pomiarowe, po czym mają je samodzielnie opracować.

Umiejętność obsługi pewnych urządzeń pomiarowych należy jednak do wymagań stawianych absolwentom. Każdy, kto chciał się nauczyć obsługi czegokolwiek, wie, że samo czytanie instrukcji nie wystarcza. Urządzenie trzeba zobaczyć, pokręcić gałkami, ustawić przełączniki, wszystko we właściwej kolejności – dopiero wtedy zaczynamy rozumieć, o co chodzi, a nie należy oczekiwać, że studenci mają w domach lasery z ławami optycznymi, spektrografy, chromatografy czy źródła promieniotwórcze. Części eksperymentów w warunkach nauki zdalnej nie da się przeprowadzić.

Przed wszystkim jednak prowadzenie pracowni w trybie zdalnym zabija to, co w studiowaniu nauk przyrodniczych stanowi bodaj największą frajdę: doznanie, że to, o czym mówią wykładowcy, to nie jest bajka o żelaznym wilku. Że to się dzieje naprawdę. Że pewne zjawiska naprawdę zachodzą, że można kontrolować i monitorować ich przebieg.

Dlatego, pomimo pandemii, większość zajęć na pracowniach odbywa się w trybie stacjonarnym.

6. Jest jeszcze jedna rzecz związana z życiem akademickim w trybie on-line: zdalne posiedzenia ciał statutowych, komisji i zespołów do spraw. To jest prawdziwe błogosławieństwo i oby zostało z nami jak najdłużej!

PAWEŁ F. GÓRA

Uniwersytet Jagielloński

ROZMOWA PANA PIOTRA Z PANEM PAWŁEM

Wszystkim, którzy oburzają się na ostrość politycznych polemik w dzisiejszej Polsce oraz na głębokie podziały w naszym społeczeństwie, chciałbym dzisiaj przypomnieć, że nasza tradycja w tym zakresie jest całkiem bogata. Ostatnio miałem chwilę czasu (pandemia!) i sięgnąłem do jednego z klasycznych dokumentów, o którym dużo słyszałem, ale nigdy dotąd nie zdobyłem się na przeczytanie. Mówię o TECE STAŃCZYKA*, manifeście krakowskich konserwatystów. Na TEKĘ składa się 18 listów fikcyjnych postaci, roztrząsających politykę i stosunki społeczne w Galicji. Autorami są młodzi (wówczas) krakowscy intelektualiści: Stanisław Koźmian, Józef Szujski, Stanisław Tarnowski i Ludwik Wodzicki. Teksty są złośliwe, pełne zjadliwej krytyki przeciwników politycznych. Styl może zbyt kwiecisty i rozwlekły, jak na dzisiejsze gusty, ale za to barwny. A przypisy profesora Andrzeja Działdzo umożliwiają orientację w zapomnianych już obecnie detalach politycznego życia Galicji w końcu XIX wieku.

Czytając, trudno nie dostrzec paraleli do Polski naszych czasów.

Wybrałem fragmenty jedyne z tekstów, który nie ma formy listu. To rozmowa dwóch krakowskich znajomych, pana Piotra i pana Pawła. Autorem jest Stanisław Koźmian.

[...]

P. Piotr. Co najdziwniejszego panie Pawle, oto że przecież hałasują jak najęci, a tymczasem chcą w nas wpierać, że to nam tak w uszach dzwoni i w głowie szumi.

P. Paweł. Panie Piotrze! ciebie to dziwi? przypomnijże sobie, że to odwieczna ich metoda. I to także nic nowego. Ale jedno z dwojga p. Piotrze: albo my wszyscy i z nami cały kraj byliśmy dotąd zupełnie głupi, niedołążni, pozbawieni wszelkiego rozumu i patriotyzmu, próżnowaliśmy całe życie, szliśmy wszyscy błędną drogą, i trzymaliśmy się nie tylko chwilowej, ale zgubnej małodusznej polityki. albo też ten nowy kierunek, który tak widocznie powstaje na naszych oczach, a tak nam bębni za uszami, nic nam dobrego nie wróży.

P. Piotr. My to nie dzisiejsi, znamy się przecie na tych peryodycznie pojawiających się u nas symptomatach. Wiemy dobrze, że u nas się nie spostrzeżesz, a już naród wciągnął w jakie szaleństwo, że najmniejsze głupstwo, bardzo łatwo przemienia się w wielkie, a zawsze idzie naprzód en boule de neige, że u nas nie można lekceważyć nawet pojedynczych wybryków, nawet idiotyzmu niewielkiej sekty, nawet kretynizmu napiętnowanych indywiduali, bo w nieszczęśliwych okolicznościach w których się znajdujemy, z naszym charakterem narodowym, z naszą przeszłością i z wrodzoną skłonnością popętniania wciąż samych błędów, nareszcie avec notre esprit d'apropos dalibóg i z kija wystrzeli, jak Pan Bóg pozwoli. Przyznam ci się p. Pawle, że nigdy nie dzieliłem przekonania tych, którzy mniemali, że jedyną korzyścią, jaką odniesiemy z naszej ostatniej wielkiej

kłęski, będzie wyrzeczenia się zupełnie tych kierunków, które nas tak niemylnie doprowadzały zawsze do kłesk i tak systematycznie podawały każdemu, czy chciał czy nie chciał, sposobność wyćpienia żywiołu polskiego, nie p. Pawle, tego się nigdy nie spodziewałem, bo znam mój naród, znam jego położenie i znam ludzi, a ludzie nie lubią przyznawać się do błędów, ale przyznam się szczerze, że z drugiej strony nie przypuszczałem nigdy, żeby świeżem doświadczeniem potępiony kierunek śmiał i miał bezczelność tak prędko na nowo rozwieliżnić się i zachwalać jako jedynie zbawczy.

P. Paweł. Czego chcesz p. Piotrze, jak są ludzie, tak są stronnictwa z miedzianem czołem. Zważ dobrze, że dwa tylko zawsze odzywają u nas kierunki, a że pozorna walka stronnictw ogranicza się u nas niestety do walki rozumu politycznego z głupotą, wielkiej odwagi cywilnej z tchórzostwem, stałości w zdaniu z tą nikczemną chwiejnością mającą swój początek najczęściej w żądzy popularności, czasem w gorszej jeszcze chęci zysku chwilowego, doświadczenia z zaślepieniem i trzeźwego zapatrywania się na położenie z tym opanowanym i zgubnym optymizmem, z którego nigdy nie wyleczymy się, a który obiecuje wiecznie i sobie i innym dopięcie wszystkiego jakim bądź środkami. Lecz co jest prawdziwie upokarzającym, oto że z tej walki rozumu z głupotą i rozsądku z szaleństwem pozostały u nas dwa systema polityczne. Określać ci ich bliżej nie potrzebuję, znasz je, pierwszy chce przemawiać do rozumu politycznego i uczucia obowiązku – drugi odzywa się do wyobraźni, do sentymentalizmu, do nienawiści i do namiętności, a przede wszystkim do ciemnoty – drugi w walce z pierwszym ma u nas niezaprzeczną wyższość, bo przemawia do tego, co najwięcej jest u nas rozwiniętem; nic więc dziwnego, że tak łatwo, tak często i niespodziewanie zwycięża. Wszystkie jego zwycięstwa są naznaczone w historii okropnemi, niepowetowanemi dla Polski kłękami. [...] A potem p. Piotrze, biorąc rzeczy rozsądnie i na zimno, dojsz się musi do przekonania, że każde nieroztropne i sangwiniczne działanie [...] jest na rękę Moskwie. Gdyby w Polsce [...] nie było dzisiaj sangwinistów, zapaleńców z dobrą wiarą, toby ich Moskwa powinna stworzyć [...].

Tekst jest niejako podsumowaniem stanowiska Stańczyków, którzy sprzeciwiali się konspiracji oraz mrzonkom o kolejnym zbrojnym powstaniu. Ściągnęło to na nich (pokutujące do dziś) bezpodstawne oskarżenia o brak patriotyzmu. Tymczasem okazało się, że ich rozsądna polityka wzmocniła autonomię Galicji, która w rezultacie stała się „polskim Piemontem”, zalążkiem odrodzonego państwa. Przypomnijmy: to stąd wyszły Legiony, które stały się szkołą oficerską Polskiego Wojska; to tutaj dorastały kadry intelektualne i urzędnicze, na których w dużym stopniu oparła się potem struktura odrodzonego państwa. Dodajmy, *pro domo sua*, że ta właśnie polityka umożliwiła też powstanie Akademii Umiejętności.

Porzucam mi tylko zachęcić do lektury pełnego tekstu. Naprawdę ciekawe, nie tylko dla historyków.

ANDRZEJ BIAŁAS

* *Teka Stańczyka*, opracowanie naukowe Andrzej Działdzo, Universitas, Kraków 2007.